

Dekada barbarzyństwa

6 kwietnia 2013

Po dziecięciu latach okupacji Iraku przez wojska brytyjskie i amerykańskie bilans zysków i strat wygląda źle. USA i Wielka Brytania są odpowiedzialne nie tylko za skąpanie kraju we krwi, ale również za polityczną destabilizację regionu.

Dziesięć lat po obaleniu Saddama Husajna i rok po oficjalnym „zakończeniu misji stabilizacyjnej” w Bagdadzie znów wybuchają bomby. Co roku w Iraku ginie 4 tys. cywilów i tysiąc policjantów. Tortury są powszechne, tysiące ludzi więzionych jest bez żadnych procesów, a porwania i zabójstwa polityczne sankcjonowane przez władze są codziennością. Bez pracy jest olbrzymia liczba ludności, korupcja stała się zinstytucjonalizowaną formą kleptokracji, a napięcia między szyicką większością i lepiej uzbrojoną sunnicką mniejszością grożą wybuchem kolejnej wojny domowej. Dla brytyjskich polityków to jednak bez znaczenia. Parlamentarzysta Labour Tom Harris z okazji niedawnej rocznicy inwazji powiedział, że „dziś Irak jest stosunkowo stabilny i ma stosunkowo stabilną demokrację”, czym udowodnił tezę o płynnej percepcji rzeczywistości. Uważany przez media za męża stanu, a przez 37 proc. Brytyjczyków za zbrodniarza wojennego Tony Blair przyznał zaś, że „koszty wojny w Iraku były duże”, ale zaraz dodał, że obalenie Husajna było w pełni uzasadnione, gdyż „powstanie przeciwko dyktatorowi skończyłoby się większą liczbą ofiar niż w Syrii”. Co prawda Blair nie dopowiada, że od 1991 r. iracka przestrzeń powietrzna była kontrolowana przez Brytyjczyków i Amerykanów, więc ewentualna rzeź partyzantów nie byłaby możliwa, ale to tylko drobny szczegół. A przecież szczegółami ani administracja Busha, ani rząd Blaira nie zwracały sobie głowy.

NIEWIDZIALNA BRÓŃ MASOWEGO PRZERAŻENIA

Oficjalnym powodem napaści na Irak było wątpliwe podejrzenie,

że Husajn posiada broń chemiczną, biologiczną i nuklearną, która stanowi zagrożenie dla Stanów Zjednoczonych i zachodniego świata. Wpuszczeni przez dyktatora inspektorzy ONZ nic nie znaleźli, ale nie przeszkadzało to Bushowi i Blairowi w rozkręcaniu antyirackiej histerii. Dziś dzięki książkom takim jak „Hubris” Davida Corna i Michaela Isikoffa oraz raportom brytyjskiej komisji i senatowi USA wiadomo, że administracja Busha kłamała z premedytacją. Jednak w 2003 r. przerażone niewidzialną bronią masowego rażenia amerykańskie społeczeństwo w konfabulacje Białego Domu wierzyło. W 2006 r. ponad 60 proc. Amerykanów było przekonanych, że Saddam Husajn posiada broń masowego rażenia i jest gotów użyć jej przeciwko USA. Według Scotta McClellana, sekretarza prasowego Białego Domu, w latach 2003-06 Bush „manipulował mediami i opinią publiczną. Administracji Stanów Zjednoczonych zabrakło otwartości i szczerości. Prezydent i jego doradcy już latem 2002 r. rozpoczęli polityczną kampanię propagandową, aby agresywnie sprzedać społeczeństwu wojnę w Iraku. Wojnę, która okazała się poważnym błędem politycznym i była całkowicie niepotrzebna”. Czasem konfabulacje poprawiano brytyjskim wywiadem. Colin Powell uznawany za gołębia na tle waszyngtońskich jastrzębi mówił na forum ONZ: „Brytyjski rząd zdobył informacje, że Saddam Husajn chciał pozyskać znaczące ilości uranu z Afryki oraz próbował kupić rury aluminiowe mogące posłużyć do produkcji broni nuklearnej”. Raport Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej stwierdził, że ma to tyle samo wspólnego z rzeczywistością co fiołetowy bizon. Fałszerstwa demaskował również prof. David Kelly, który potem popełnił samobójstwo. Operacja kosztująca miliardy dolarów i tysiące ofiar otrzymała zielone światło.

POŻERACZE MILIARDÓW

Administracja Busha twierdziła, że usunięcie Husajna i demokratyzacja Iraku pochłoną od 50 do 60 mld dolarów. Według kalkulacji Amy Belasco z Congress Research Service okupacja Iraku w latach 2003-2011 kosztowała Amerykanów 823 mld

dolarów. Naukowcy z Brown University's Watson Institute for International Studies twierdzą jednak, że prawdziwy rachunek oscyluje wokół 3,7 bln dolarów. Niezależnie od tego, czy rację ma Belasco, czy też badacze z Watson Institute, najważniejsze jest, że amerykański podatnik o niczym nie ma zielonego pojęcia. Rzeczywiste koszty były bowiem skrzętnie ukrywane. W latach 2003-2008 70 proc. wydatków na operacje w Iraku było finansowanych ze „środków nadzwyczajnych” i niewzględnianych w budżecie Pentagonu, co pozwoliło prezydentowi trzymać amerykański Kongres na dystans i mieć opinię publiczną. Podatnicy nie oburzali się więc, gdy powołany przez amerykański Kongres inspektor ds. odbudowy Iraku Stuart Bowen ogłosił, że nie może doliczyć się 9 z 60 mld dolarów przeznaczonych na odbudowę okupowanego kraju. Według Bowena Amerykanie brali łapówki za przyznawanie kontraktów, organizowali lipne przetargi, które wygrywały lipne firmy znikające zaraz po zainkasowaniu gotówki. W niemal każdym irackim urzędzie pracowały setki martwych dusz, które istniały tylko na amerykańskich listach płac. Amerykańscy weterani z Iraku wywozili walizki pełne pieniędzy, za które w kraju robili sobie operacje plastyczne, kupowali domy i samochody terenowe. Pieniądze zamiast iść na odbudowę infrastruktury, czyli szkoły, szpitale, kanalizację itp., lądowały w kieszeniach „ludzi pracujących przy odbudowie”. Urzędnicy w Iraku wciąż nie mogą znaleźć nawet jednego dokończonego projektu. Większość wygląda jak więzienie w prowincji Diyala, które po dziewięciu latach budowy i wydanych 40 mln dolarów bardziej przypomina rzymskie ruiny niż nowoczesny areszt. Nie pomogła też typowa dla konserwatystów wiara w prywatny sektor. Utrzymanie statystycznego żołnierza USA na irackiej ziemi kosztuje 462 tys. dolarów rocznie (Congress Research Service). Prywatnego najemnika niewiele mniej. The Commission on Wartime Contracting szacuje, że 100 tys. wolnych strzelców – zaradnych przedsiębiorców w dziale wojennym – inkasuje 12 mln dolarów. Dziennie!

BEZKARNE PRZESTĘPSTWO

Korupcja, defraudacje, przypadkowe bombardowanie wiosek, brak jakiegokolwiek kontroli nad samowolą najemników wpływają negatywnie „na serca i umysły” Irakijczyków, dla których amerykański sen w realu wygląda jak koszmar. W ciągu dekady rządów Brytyjczyków i Amerykanów w Iraku zginęło 258 tys. ludzi, w tym 125 tys. cywilów. Do tego jeszcze rannych zostało 350 tys., a prawie 8 mln wysiedlonych. Spodziewana długość życia w porównaniu do czasów rządów Saddama Husajna spadła o 2 lata i wynosi teraz 68 lat. Inflacja na poziomie 29 proc. zachęca do szukania zarobku w szemranej strefie, zwłaszcza że 58,7 proc. Irakijczyków nie wie, co to praca (w tym 31,1 proc. mężczyzn i 86,2 proc. kobiet), a 22 proc. jest analfabetami. Amnesty International twierdzi, że mało przyjemne życie w Iraku urozmaicane jest torturami i znęcaniem się nad więźniami, dokonywanymi zarówno przez wojska okupacyjne, jak i irackie siły bezpieczeństwa. Najbardziej, jak zawsze, cierpią kobiety. Przemoc oraz gwałty są codziennością i według Hanay Edwar – działaczki na rzecz praw kobiet – dokonywane są również przez wojskowych i policję. Obrazu degrengolady dopełniają szyici i sunniti, którzy szykują się do kolejnej krwawej łaźni, podobnej do tej z lat 2005-2008. Wszystko to nie jest wynikiem, jak uważają amerykańskie i brytyjskie elity, „błędnej strategii” oraz „brakiem odpowiedniego planu”, lecz logiczną konsekwencją inwazji i destabilizacją kraju. Lekkomysłnym przestępstwem. Doświadczenie uczy, że po rozpędzeniu krwawych reżimów Zachód kreuje chaos oraz polityczną próżnię, którą zazwyczaj zagospodarowują islamscy ekstremiści. Strategie stabilizacyjne nie działają. Demokratyzacja nie postępuje. Autorytarne rządy, które podzielone etnicznie, kulturowo i religijnie społeczeństwa trzymały pod żelaznym butem, upadając, uwalniają siły separatystyczne i terrorystyczne. Dziś iracki wirus krwawej walki o władzę rozprzestrzenia się na inne kraje regionu, zagrażając stabilizacji tej części arabskiego świata. Zaś Amerykanie i Brytyjczycy, którzy w Iraku współtworzą coś na kształt kondominium, kontrolując złoża ropy i słaby rząd, mimo oczywistej politycznej i moralnej klęski wciąż szukają nowych

dyktatorów do obalenia, siejąc chaos i barbarzyństwo.

Autor: Radosław Zapałowski

Źródło: [eLondyn](#)